

Zima-czarodziejka w Pawlikowicach.

NASZE ŻYCIE

BÓG I OJCZYZNA — RAZEM, MŁODZI PRZYJACIELE!
MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

№ 1. LUTY 1933.

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

№ 1 LUTY 1933. ROK XII.

O KOLĘDZIE.

*Hej! kolenda się rozlega
Dzisiaj po kościołach,
Dziś kolenda w lot przebiega
Po wioskach i siołach.*

*Bo w kolendzie ukochanej
Serca żar spoczywa,
Bo z kolendy wyśpiewanej
Miłość się rozlewa.*

*Jako fala i ku górze
Płynie pod niebiosy
I rozpływa się w lazurze,
Jako niebian głosy.*

*Tak się niegdyś rozbrzmiewało
I anielskie pienie,
Gdy światu zapowiadało
Boskie narodzenie.*

*Z nieba jest więc ten śpiew błogi,
Znieśli go anieli
Gdy zstępując w ziemskie progi
Kolendować mieli.*

*Tam przy żłóbku w Betlejemie
Bogu, Dzieciąteczku,
Gdy dla nas przyszedł na ziemię,
Gdy leżał w żłóbeczku.*

*Więc i my dziś kolendujmy
Bogu zrodzonemu,
Chwałę Jemu wyśpiewujmy
W żłóbku złożonemu.*

Ks. J. Zawada.

SZCZĘSNA NOWINA.

Ze stajenki betlejemskiej, z miejsca, którego udziałem jest nędza, zapomnienie, wzgarda, trudności i prześladowania, dochodzi nas: „Wesoła nowina Bożego Narodzenia“.

Z radością biegniemy, by oddać cześć i pokłon Bogu narodzonemu, który się tak poniżył i już w zaraniu swego życia ziemskiego chciał mieć przedsmak czekających Go za lat kilkadziesiąt męki i krzyża.

Widząc Boskie Dzieciąteczko, drżące z zimna i patrząc na nędzną szopę, wracamy myślą w nasze życie codzienne. Niewątpliwie lepiej nam, aniżeli Boskiemu majestatowi, złożonemu na barłogu betleemskim. Ale i nam nieraz tak ciężko i trudno na drodze tego życia. Tyle przeszkód staje nam w drodze. Tyle trosk o „chleb powszedni“ zaciemnia nasze czoła. Wytyczyliśmy sobie drogę mozolną. Sumienna praca, rzetelny wysiłek, oraz życie powściągliwe — oto hasło, które wypełnia dni naszego ziemskiego żywota. Trudno nam? Przychodzi zniechęcenie?

Popatrzmy na Boskie Dziecię. Przyniosło na świat wesołą nowinę, przyniosło zbawienie, szczęście wiekuiste, ale po drodze, która już od samego narodzenia była cierniami zasłana“.

Miałożby u nas być inaczej? Nie! Jest tak samo. Przez pracę, trudy i znoje dochodzimy do celu. Tylko wśród poświęceń, ofiar, zaparcia się siebie rodzi się dobra, wesoła nowina.

Spieszmy więc z gorącą modlitwą do Boskiego Dzieciędia, prosząc o wytrwanie w trudnych i przełomowych chwilach życiowych. Prośmy to Dziecię, by nam z naszych prac i trudów uwiło szczęsną świetlaną drogę, wiodącą do wiecznej szczęśliwości.

Błogoław Boże Dziecię!

Sobczak Feliks.

Wł. St. Reymont.

Wigilja Bożego Narodzenia

(Wyjątek z powieści „Chłopi“)

Wieś zginęła w szarych, śnieżystych mrokach, jakby się rozlała, że ani ujrzał domów, płotów i sadów, jedne tylko światełka migotały ostro, a gęściej, niźli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczerzy.

W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak i u komornika, jak i u tej biedoty ostatniej, przystrajano się i czekano z namaszczeniem, a wszędy stawiano w kącie od wschodu snop zboża, okrywano ławy, czy stoły płótnem bielonem, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy.

Jakoś nie widne były zaraz z pierwszego wieczoru, jak to zwykle przy mrozie, bo skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło się zasnuwać jakby dymami i całkiem zatapiało się w burościach.

Józka z Witkiem dobrze byli przemarzli, bo stali na zwiadach przed gankiem, nim pierwszą gwiazdę uwidzieli.

— Jest! jest! — wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyjrzeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

Juści że była, tuż nad wschodem jakby się rozdarły bure opony, a z głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i zda się rosła w oczach, leciała, pryskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej była, aż Rocho ukląknął na śniegu a za nim drugie.

— Oto gwiazda Trzech Króli, betleemska gwiazda, przy której blasku Pan nasz się narodził, niech będzie święte imię Jego pochwalone.

I długo, długo mówił, że i ksiądz na ambonie lepiej nie potrafi.

— — — — — — —

A tymczasem zaś Witek, głęboko tknięty słowami, że

w noc tę krowy mowę ludzką mają, wywołał po cichu Józkę i poszli oboje do obory.

Trzymając się za ręce i dygocząc ze strachu, a żegnając się raz po raz, wsunęli się do obory pomiędzy krowy.

Przyklęknęli przy największej, jakby przy matce całej obory; tchu im brakowało, dusze się trzęsły, łzy nabiegały do oczów, serca przenikał strach święty, jakoby w kościele podczas podniesienia, ale ufność serdeczna i wiara w nich była, bo Witek nachylił się aż do samego ucha i szepnął gorąco:

— Siwula, siwula!

Nie odrzekła ni tem słowem jednem, postękiwała ino, żuła, ruchała gębulą, pomlaskując ozorem!

— Cosi się jej stało, że nie odpowiada, może za karę.

Przyklęknęli przy drugiej i znowu Witek zapytał, ale już z płaczem prawie:

— Łaciata! łaciata!

Przywarli oboje do jej pyska, słuchali z zamarłym tchem, ale nic nie usłyszeli, ani słowa, nic...

— Grzeszniśmy pewnie, to nie usłyszymy, grzeszne.. Mój Jezus... prawda... jużci, wziąłem gospodarzowi postroneczki... a i ten rzemień stary... o i te... nie mógł mówić więcej, płacz go uchwycił, żal i to poczucie winy, że aż się zanosił, a Józka też mu serdecznie wtórowała i tak płakali społem, nie mogąc się utulić, aż wypowiedzieli swoje, a grzechy wszystkie...

Ze wspomnień wojennych

Kradzione nie tuczy.

22. XII 1914 roku zakład w Miejscu Piastowem po nieudałej ofenzywie austrjackiej stał się znowu terenem walk. Już od kilku dni podwórze zakładowe przedstawiało wstrętny widok obozu. Palono ustawicznie ogniska. Codzień odbywały się egzekucje nad biednemi krówkami. Wnętrzności, krew i ludzkie nieczystości plugawiły plac zakładowy i drogi.

Austrjacy cofali się. Koło południa zajechała baterja artylerji austrjackiej. Ustawiono armaty na placu pod samym zakładem. Punkt obserwacyjny urządzono w kaplicy. Wszystko było gotowe do strzału... Ale dzięki Bogu za parę godzin artylerja z wielkim pośpiechem musiała odejść. 23 grudnia podczas śniadania uciekła nawet patrol madjarska, a za chwilę już ujrzeliśmy kilku sołdatów rosyjskich, którzy dokładnie zbadawszy zakład, poszli dalej. Mieli wielką ochotę zabrać coś, ale słowo „sieroty“ jeszcze wstrzymywało ich od rabunku.

Podczas tej rewizji pociski rosyjskie gwizdały ponad głowami naszemi. Do wojny już przyzwyczailiśmy się. Malców naszych często trzeba było spędzać z miejsc niebezpiecznych, aby ciekawości ktoś nie przypłacił życiem. Turkotowi karabinów maszynowych wtóro-

wał nasz motor. Bo młyn stał się prawie jedynym żywicielem zakładu.

Poszedłem na próbę „Jasełek“, ale niedługo wezwany zostałem do stajni, aby bronić koni przed patrolą kozacką. Było ich coś 6-ciu, w kudłatych czapkach z czerwonymi „baszłykami“ (kaptury zawieszone na plecach) — a więc „kozunie“ z Kaukazu, którzy cieszyli się najgorszą sławą. Zbliżam się do starszego, przedstawiam mu, że to zakład dla sierot „prijut“. Nic nie pomaga. Pokazuję mu rozkaz sztabu rosyjskiego zabraniający rabunku. Cóż z tego, kiedy ta bestja nie umie czytać. Prośba o tyle poskutkowała, że zabrali tylko jednego konia, coprawda najlepszego — a resztę zostawili. Powiedziałem na pożegnanie dowódcy patroli: „Słuchaj, stary, ty na sierotach nie wzbogacisz się, zobaczysz, że ci to na dobre nie wyjdzie“.

Pojechali na wieś. Po chwili wracają kozacy z koniem. Starszy zwraca się do mnie: „Pan, ja kinia nie choczu (ja konia nie chcę), daj nam chleba“. A to co innego. Posłałem po chleb do piekarni, a tymczasem kozunie zainteresowali się zakładem. Niemiłych gości musiałem oprowadzić po warsztatach. Oglądnęli ślusarnię, młyn, gdzie cmokali pobożnie na białą mąkę. Weszli na piętro do stolarni. Bardzo się obawiałem o pracownię wyrobów skórkowych bo tam mogliby dobrze się obłowić. Na szczęście zawrócili. Wychodzimy na podwórze, aż tu pędzi ku warsztatom oficer ułański z ordynansem, osadził konia przed kozakami, którym musiało się zrobić okropnie głupio, bo przed straszliwym majestatem oficera chcieli się ukryć, a nie mając gdzie, przylepili się do ściany domu. „A wy tut sobstwienno goworia czewo chatitie ?. (A wy tu właściwie czego chcecie ?). Któryś z nich coś tam wybełkotał. A oficer jak nie skoczy do nich.: „Tak, to wy tu przyszliście kraść konie u tych, co nie mają ojca ani matki ?“ Kozacy zaczynają się usprawiedliwiać. Ale oficer naprawdę się rozsierdził, bo nagle wyciągnął pałasza i złajawszy trzechpiętrowem conajmniej przekleństwem rosyjskiem, zamierzył się na niefortunnych „turystów“. Ja was tut siejczas wielu wyporot. Kakoj diwizii ? Ja was zapiszu, a znajetie, czem eto pachniet ? razstrełom. Stupaj“. (Ja was zaraz każę rózgami osmagać. Jakiej dywizji ? ja was zapiszę. A wiecie czem to pachnie ? Kulką w łeb. Ruszaj“).

Kozunie stulili uszy, idą niebożęta ku stajni, gdzie zostawili swoje konie. Ze stolarni wybiega śp. Niedźwiedzki, stolarz z zawodu i przygodny zegarmistrz i mówi mi, że kozak podczas oglądania pracowni, szukając „austryjca“ w szufladzie warsztatu zabrał mu zegarek. „A który kozak ?“ pytam. A ten mały, co idzie z tyłu“. Podchodzę do złodzieja i dość głośno pytam: „Ty zworował czasy ?“ (Tyś ukradł zegarek ?) Zamiast odpowiedzi, kozunio wyjmuje z kieszeni zegarek i nie oglądając się, wsuwa mi do ręki. Tymczasem kozacy

powsiadali na konie i już mieli odjechać, ale ktoś z naszych upomniał się o owies, którym naładowali sobie torby. Oficer zaklął siarczyście, kazał zleść kozuniom z koni i wysypać zrabowany owies a za karę i swój. Przed odjazdem powiedziałem staremu kozakowi: „Widzisz, stary, jeszcze 15 minut niema, jak ci powiedziałem, że na sierotach nie wzbogacisz się i zdaje się nie wzbogaciłeś“. Niechętnie słuchał kozunio tych morałów, ale uważałem za pożyteczne ostrzec tę półdziką, a jak widać było — nie pozbawioną serca istotę, bo na drodze swej miał spotkać jeszcze nie jedną sierotę i ofiarę okrutnej wojny, niech więc wyciągnie z życia naukę, że złodziej nie skorzysta z kradzionego i jeszcze swego dołoży, że „kradzione naprawdę nie tuczy“.

Święty Mikołaj w Zakładzie.

W końcu drugiego roku wojny zakład w Miejscu Piastowem znalazł się w wielkiej biedzie. Wróciły coprawda władze austrjackie. Mieliśmy już starostę i komisarzy, którzy karmili ludność, ale kartkami. Założono „zakład obrotu zbożem” w Zręcinie, dokąd gospodarze mieli dostarczać ziarno dla wojska i miast. Zapasy nasze już się wyczerpały, ratowaliśmy się ziemniakami. Prefekt zakładu upominał się w starostwie o przydział dla zakładu, ale pan komisarz nie mógł dać sobie rady z bliższą mu ludnością miejską. Pomocy odmówił, oświadczając, że musimy sobie sami radzić. Powiedzieć łatwo, ale jak radzić? Chyba zaciągnąć mocniej pasek i czekać pomocy Nieba. Czekaliśmy tak parę tygodni. Aż tu 5 grudnia w czasie obiadu wzywają dyrektora zakładu, żeby się rozmówił z jakimiś gospodarzami, którzy przyjechali z okolic Dukli. Przedstawił się poważny wójt gminy i oznajmił,



Pawlikowice, „Dziady“ Mickiewicza na scenie pawlikowickiej.

że z polecenia starostwa krośnieńskiego przywozi do zakładu kilkanaście centnarów zboża i prosi o pokwitowanie. Ucieszyliśmy się wszyscy. Będzie wreszcie chlebuś i to na św. Mikołaja. Dziwiła nas niezwykła uprzejmość wójta. Zdawało się, że my tym poczciwcom wielką łaskę robimy, przyjmując to zboże. Wójt przepraszał, że niektórzy gospodarze zboża nie dostarczyli i pytał nawet, co z nimi zrobić. Przypuszczaliśmy, że pana komisarza zbożowego wzruszyła wreszcie niedola nasza. Tylko dziwiliśmy się, że odrazu przyszło zboże. Bo zwyczajnie najprzód przysyłali asygnatę, a potem nieraz po długich ceregielach dostawało się mąkę, nieraz porządnie omaszczoną trocinami. Wszystko to przypisywaliśmy miłosierdziu p. komisarza, że tym razem zboże wyprzedziło asygnatę. Ale jej spodziewaliśmy się lada godzinę. Ale czekamy jeden tydzień, drugi... asygnaty niema. Zresztą za tak niezwykłą grzeczność wypadało podziękować p. komisarzowi.

Gdzieś po świętach wydelegowano prefekta, aby tę sprawę załatwił w starostwie.

— Dziękujemy p. komisarzowi za pamięć i za zboże, przesłane do zakładu, zaczyna prefekt

— Co za zboże, jakie zboże? pyta zdziwiony Komisarz.

— Ano co gospodarze z Dukli dostawili z rozkazu Starostwa, komisarz aż podskoczył z oburzenia.

— Ależ to nie dla was, zboże miało być przesłane do „Zakładu obrotu zbożem", a nie do waszego. Proszę je natychmiast dostawić do Zręcina.

— Niestety, p. komisarzu, zboże już zjedliśmy i prosimy o nowy przydział.

— To skandal... karę zapłacicie... rzucał się Komisarz, wreszcie, machnął z rezygnacją ręką — Co ja teraz z wami zrobię?

— Panie komisarzu, rzecze prefekt, to sprawa św. Mikołaja, bo to się stało w wigilję uroczystości jego. Poratował nas. Pomyłka wójta, który nie przyjął do wiadomości istnienia jakiegoś tam „Zakładu obrotu zbożem", bo miał bliżej i dobrze znany zakład w Miejscu Piastowem — nikomu nie zaszkodziła.

A malcy mieli chleb na św. Mikołaja.

O zdrowym i niezdrowym dowcipie

Chrystus przyrzekł nam niebo, życie drugie, pełne radości, życie bez końca, bo wieczne. W nadziei więc tego przyszłego i lepszego bytowania możemy śmiało śmiać się z udręk i cierpień bądźto fizycznych bądźteż duchowych, zwłaszcza, że i takowe policzone są nam jako zasługi. Wszak Sam Chrystus Pan dla swej wielkiej obietnicy kazał nam radować się i weselić!

U ateistów, bezbożników,

u tych, co to „płaszcz na dwóch ramionach noszą“ i u wszystkich tych ludzi, którzy nie chcą wiedzieć co to Bóg — u tych radość przyjmuje formę chorobliwą, wypaczoną, niekatolicką, gdyż śmiech ich — to radość z czyjegoś nieszczęścia; dowcipy i anegdotki — to środek do pobudzania niskich instynktów, lub środek do zgorszenia, a humor wypływa najczęściej z tego, co grzeszne, zwierzęce lub niechlujne.

U katolika śmiech i humor wypełnia całe jego życie: jest towarzyszem w pracy, zabawie, towarzystwie, jedzeniu i piciu, ale naturalnie w odcieniu kulturalnym i chrześcijańskim.

Skarży się dzisiaj starszyzna, że młodzież taka ponura i podtatusiała“, że brak jej owej charakterystycznej cechy czerstwości i młodzieńczości, a mianowicie: brak zdrowego szczerego uśmiechu i zdrowego dowcipu!

Powiadają starsi, że obecnie młodzież straciła poczucie wartości zdrowego dowcipu, a kala się tylko w „wicach” dwojakoznaczących, niesmacznych, niejednokrotnie głupich, pornograficznych.

Współczesna młodzież męska - zwłaszcza, tak w tych niemądrych i brudnych dowcipach zaawansowała, że myśli jakoby pozatem żaden humor nie istniał i jakoby poza plugastwami i bezeceństwami żadnej radości i pobudki do śmiechu znaleść nie można było.

Chcę przy tej okazji zademonstrować w kilku wyjątkach, że humor może być humorem bez pornografji. Wszak wiemy, że hasłem tegorocznego dnia Katolickiego była walka z pornografją wszelkiego rodzaju. Niech więc to, co piszę w pierwszym rzędzie: stanie się wobec tego aktualnym choć drobnym przyczynkiem do walki z pornografją i pośrednio wskaże nam na właściwości istotnego dowcipu, — w drugim rzędzie niech zachęci Czytelników do walki z bezwstydnemi i głupiemi wicami, która to walka niech będzie zrealizowana tygodniową wielką obławą na niesmaczne wice! (Taki mój projekt!)

Na marginesie dodaję, że całą porcję zdrowego humoru możemy znaleść w powieściach i Sienkiewicza i Prusa, o czem dobrze wiemy a w szczególności u pisarzów polskich średniowiecznych.

Nie będę się tu zatem powtarzał. Wyszukałem tylko przykłady mało znane.

Fr. Chopin, nasza duma narodowa, jeden z najwyższych „asów“ muzycznych w historji świata był niesłychanie dowcipny. Humor towarzyszył mu przez całe życie, mimo cierpień fizycznych. Otóż gdy Fryderyk był jeszcze młodzieńcem kilkunastoletnim — bawił na wsi na wywczasach i tamże (o zgrozo!) „wydawał“ pismo p. t. „Kurjer Szafarski“, ilustrujące w słowach i karykaturach kronikę wiejskiego życia. Był zatem Frycek redaktorem! Jednak jak wszystkie pisma warszawskie, podobnie i to poddawane było cenzurze panny Ludwiki Dziewanowskiej (towarzyszka zabaw na wsi),

która każdy nowy numer przed „wyjściem na świat“ podcyfrowywała wyrazami: „Wolno pisać. Cenzor L. D“. (Jak wiadomo Frycek posyłał takowe do Warszawy do rodziny!)

Z tej racji, gdy srogi cenzor nie przepuścił czegoś młodemu redaktorowi, napisał tenże:

„Proszę bardzo cenzora
Nie krępować mi ozora!“

A oto, co było naprzykład treścią takiego dziennika! Tytuł: „Kurjer Szafarski“* a obok: „wspomnienie narodowe! Wyszlamowana sadzawka w podwórzu“.

Treść dzieliła się na a) wiadomości krajowe b) wiadomości zagraniczne.

np. a) dn. 13 m. i r. b. I. P. Better dał się słyszeć na fortepianie z niepospolitym talentem. Wirtuozus ten z takiem uczuciem gra, iż prawie każda nutka nie z serca, ale z potężnego brzucha wychodzić się zdaje.

Dn. 15. doszła nas wiadomość jako się przypadkiem indyczka za śpichlerzem w kąciku wylęgła. Ważny ten wypadek nietylko, że przyczynił się do pomnożenia familji Indyków, lecz nadto powiększył dochody skarbowe i powiększenie się owych zapewnił. Wczoraj w nocy kot zakradłszy się do garderoby, stłukł butelkę z sokiem, lecz jak z jednej strony wart szubienicy, tak z drugiej strony zasługuje na pochwałę, bo sobie najmniejszą (butelkę) wybrał! d. 12. Krowa tak gwałtownie zachorowała, że aż się w ogrodzie pasie.

b) wiadomości zagraniczne:

W Bocheniu lis zjadł dwóch bezbronnych gąsiorów, ktoby go złapał, niech raczy uwiadomić sąd bocheniecki, który niezawodnie podług praw i przepisów zbrodniarza ukarze. Oddawszy zaś lisa one dwa gąsiory, jako godne wynagrodzenia ustąpione będą.

Inny numer:

Tytuł..., a obok: „Mysz r. 1802 wygryzła dziurę w trzewiku I. Panny Dziewanowskiej“.

a) wiadomości krajowe:

dn. 30 w oborze trzy dziewki się pobiły, dwie szczególniej, uzbrojone węborkiem i skopkiem biły trzecią bezbronną, a lubo i ta ku końcowi dostała i skopek i węborek (nota bene: na pysku), oprzeć się jednak tamtym nie mogła.

b) wiadomości zagraniczne:

dn. 29. jechała fura żydów. Die ganze Familie składała się aus eine Maciore, tsiech dużich żydziech, dwóch maiich i sieść śtuk żydziątek; wsiscy siedziali kupie, kieby śledziów holenderskich. Tymczasem zawadzili o kamień, wywrócili i następującym porządkiem na piasku leżeli: naprzód bachorki, każde w innej pozycji, większa część z zadartemi do góry nóżkami, a na nich Maciore, stękająca pod ciężarem żydów, którym w locie z impetu krymki pozlatywały.

dn. 30. Pewien obywatel w okolicy chciał czytać „Konitora“. Wysłał więc służącego do Księży Karmelitów w oborach, prosząc o pismo perjo-

*) Wyjątki z „Kurjera Szafarskiego zaczerpnąłem z arcydzieła p. t. „Chopin“ (Życie i twórczość).

dyczne. Służący, w życiu o piśmie perjodycznem nie słysząc, przekręcił wyraz i pytał się Księży o pismo hemoroidyczne.

dn. 31. Potomkowie owych sławnych „bohaterek", które Kapitol od Gallów obroniły, często owies na pniu zakupują. Tanoleta ta czasem panowie „kupczynie" o śmierć przyprawia; wiele z nich bowiem kijem dostaje a więcej jeszcze na różnie ginie.

— — — — — — —

Oto rzut oka na młodociane dowcipowanie wielkiego Fryderyka Chopina, który miał zdrowy humor i wiedział, że rozśmieszać otoczenie we właściwy sposób, to znaczy przedewszystkiem n i e osiągać tego przez pornografję!!

Poznań. *Jan Białecki.*

O wykształceniu zawodowem

Wyższe i średnie szkoły są przepełnione. Z tych licznych studentów, zaledwie szczupła garstka najszczęśliwszych może dobić do celu, reszta, to doprawdy ludzie pożałowania godni, którzy swoje najlepsze lata prześlęczą nad książkami a w końcu, nie dostawszy posad i niebędący przygotowani do życia praktycznego — stają się nędzarzami. Ileż, to się błąka w dzisiejszych czasach, młodych ludzi z dyplomami maturalnymi, prosząc o posadę, choćby tylko za „życie". Z pewnością inaczej wyglądałby dany człowiek, gdyby zamiast uczęszczania do gimnazjum", wziąłby się był do nauki jakiegoś praktycznego zawodu. Zapewniłby sobie utrzymanie a i Ojczyźnie by się przysłużył.

Ów nienormalny pęd do wyższego wykształcenia, zawdzięczamy w pewnej mierze nadmiernej ilości szkół średnich ogólno-kształcących (jak gimnazja, licea itp.)

N. p. w miasteczku jest gimnazjum. Cała korporacja urzędnicza, „śmietanka" czyli inteligencja miejska, kupcy... uważają sobie za obowiązek posyłać swych synów do gimnazjum. Nawet poczciwy gospodarz wytrząsa ostatnie grosze, byleby jego synek był „edukowanym" człowiekiem. Synalek tymczasem do nauki nieraz zupełnie niezdolny, „ciągnie" z dobrodusznego ojczulka złociaki niby to na książki itd., w rzeczywistości na hulanki. Dopiero, gdy synuś matury nie zda lub po maturze wymarzonej posady nie dostanie — rozpoczyna się istna „jeremiada". Żeby był poszedł na rzemieślnika lub kupca, miałby chleb w ręku, a teraz, to choć to niby jest „uczonym" w dalszym ciągu korzysta z ciężkiej pracy rodziców. Jak zwykle stara to historja: „Mądry Polak po szkodzie".

Dzięki więc nierozumnemu postępowaniu rodziców, którzy w swej pysze i próżności chcą widzieć swych synów na katedrach profesorskich, przy tekach ministerjalnych, bezkry-

tycznie wciąga się młodzież w prąd t. zw. „wyższego wykształcenia“.

Zawrócić bardzo trudno i dla wielu to niedokończone wyższe wykształcenie było przeszkodą w normalnym rozwoju ich życia. W naszej Ojczyźnie nie powinno być pracy „wyższej” i „niższej“, może być jedynie społecznie użyteczna, zbędna lub wprost szkodliwa. Im lepiej, sumienniej się będzie pracowało, a praca będzie użyteczną, tem wyżej oceni społeczeństwo danego człowieka, nie bacząc na to, czy jest synem magnata czy też prostego kmiotka. Dziś człowieka czynu i uczciwej a użytecznej dla Ojczyzny pracy, można prawdziwie nazwać „szlachcicem“. Nie będzie to szlachectwo papierowe, ale szlachectwo pracy.

Wybór zawodu gra tu wielką rolę, gdyż należy uwzględnić dwa czynniki: zamiłowanie i uzdolnienie kandydata do tej lub owej pracy, więc umysłowej, technicznej, rolnej, przemysłowej i t. p., a także potrzeby kraju lub społeczeństwa, czyli na jaki zawód jest największy popyt w danym czasie.

U nas przeważa rolnictwo; ponieważ ono musi być obecnie uprzemysłowione rozszerza się więc jeszcze zakres specjalności, jakie tu dadzą się uwzględnić. Więc ogrodnictwo, z wszystkiemi podziałami, jak sadownictwo, szkółkarstwo, owocarstwo, warzywnictwo, kwieciarstwo, w innych technika jak chmielnictwo, przetwórnictwo t. j. suszenie owoców, warzyw itp., estetyka, jak zakładanie parków i wszystkie z niem złączone techniczne urządzenia, dają pojęcie, jak możnaby tę litanję jeszcze przedłużyć. Zaznaczyć także należy, że nasz handel i przemysł jest jeszcze w powijakach, a do tego częściowo w zupełnie obcych a nawet wrogich nam rękach — żydowskich. Widzimy więc jak wielkie pole działalności otwiera się przed nami. Podnieść wydajność pracy zawodowej, wyrwać z rąk żydowskich i rozwinąć handel i przemysł — oto nasze zadanie.

Niejeden z chęcią poszedłby na kupca, lecz fałszywa ambicja własna, a częstokroć i rodziców, każą mu pogardliwie „machnąć” na zawód kupiecki i pchać się na wyższe studja; niech jednak zważa, by się w końcu nie dopchał do — ostatecznej nędzy i nie musiał korzystać z pomocy społecznej.

Każda indywidualność znajdzie zastosowanie w praktycznym zawodzie. Każdy może wznieść się do największej doskonałości w danym zawodzie. A wtedy, gdy będzie pracował z pożytkiem dla drugich, będzie ceniony jako człowiek z „wyższem wykształceniem fachowem“.

Doprawdy smutek ogarnie każdego dobrze myślącego Polaka, gdy zobaczy jak mało zrozumienia w społeczeństwie ma nauka zawodowa. W roku szkolnym 1930/31, zaledwie 70 tys. uczniów uczęszczało do szkół zawodowych, gdy tymczasem do średnich i wyższych zakładów naukowych około 300.000. Nie dziwmy się więc, że mniejszość narodowa, mia-

nowicie żydzi, którzy w szkołach stosunkowo mało się uczą, a jeśli się uczą to rzeczy praktycznych, ujęli w swe ręce przemysł, handel, banki, dziennikarstwo, sięgając nawet już po naszą ziemię, tak obficie skropioną krwią naszych przodków.

W porównaniu do szkół średnich ogólnokształcących, szkół zawodowych jest bardzo mało i to z niewielką: jak powyżej podałem, liczbą uczniów. Z tej drogi trudno zawrócić, rządowi, choć czyni w tym kierunku duże usiłowania, jeszcze trudniej społeczeństwu zejść z wyżłobionego toru i pozbyć się przesądu: „że człowiek z maturą jest jedynie człowiekiem wykształconym".

Każdy z osobna kandydat musi się zastanowić i obrać sobie właściwą drogę. Wtedy na pozór najtrudniejsza praca stanie się łatwą a nawet miłą. Kandydat po ukończeniu niższego gimnazjum, to jest po 4-ch kl. lub po ukończeniu 7-mioklasowej szkoły powszechnej, musi się zdecydować czem zostanie.

Dałby Pan Bóg, aby cała młodzież się zastanowiła i nie idąc za owczym pędem ku „wyższemu wykształceniu", skierowała się do tej lub innej szkoły zawodowej, a zapewni sobie bezwątpienia chleb na przyszłość. Państwu zaś przybędą szeregi ludzi fachowych, którzy będą z pożytkiem dla kraju pracować.

F. S.

Ukarany zabobon

Wiadomym jest wszystkim przesąd, że, jeżeli przy kolacji wilijnej zasiędzie nieparzysta liczba osób, jedna z nich niewątpliwie do roku umrzeć musi.

Wiedział o tem również i Pan Bolucki, szczęśliwy mąż i ojciec trojga śliczniuchnych dzieciaków.

— Moja kochana, mówi do żony, trzeba nam koniecznie pomyśleć o parze, wilja się zbliża, a tu jak na złość siedm osób siądzie do kolacji, licząc ma się rozumieć szwagra i siostrę. Pani Bolucka niezmiernie się tem przeraziła.

— Prosić ich trzeba koniecznie, bo przecież wilja najważniejszy dzień w roku, zwłaszcza, że z Tadeuszem poróżniliśmy się, jeżeli więc nie pogodzimy się z nim podczas wilji, gniew może trwać bardzo długo. Nie chcę mieć wcale nieprzyjaciół, ani niechętnych.

— Ha w takim razie musimy kogoś jeszcze zaprosić.

— Ale kogo?

— W tem właśnie sęk.

Kiedy się toczy podobna rozmowa, wchodzi pan Walczak, szwagier państwa Boluckich i wyciągając ręce, mówi:

— Gniewaliśmy się ze sobą, więc przybywam po to jedynie, aby się pogodzić. Nie możemy być na wilji, boby nas była liczba nieparzysta, dodaje

— Czy i ty wierzysz w ten przesąd, mówi pan Bolucki.

— Nietylko wierzę, ale je-

stem pewny nieszczęścia, gdybyśmy zasiedli w nieparzystej liczbie, że przychodzę do was z pojednaniem, by tylko nie sformować swoją obecnością nieparzystej liczby biesiadników.

— Jakto, nie chcecie być na wilji?

— Nie.

— Ależ to nierozsądek. Poprosimy kogokolwiek i rzecz skończona.

ósmego członka owej familijnej uczty.

Trzeba jednak dziwnego zbiegu okoliczności, że pan Leszek Adamczyk, ów przyjaciel Boluckiego, już od dwóch tygodni zaproszony został do swoich znajomych i żadną miarą wymówić się nie mógł.

— A to prawdziwa kara nieba, zawołał Bolucki. Rachowałem na ciebie, jak na Zawiszę, z tej mianowicie przyczyny, że nas



Pawlikowice. Narciarze i saneczkowicze używają...

Tym sposobem sprawa tak ważna załatwioną została i państwo Walczakowie przyrzekli najsolenniej być na wilji u szwagrostwa.

II.

Nadszedł ów dzień tak ważny, tak uroczysty w całem chrześcijaństwie.

Od samego rana pani Bolucka zajęła się przygotowaniem ryb i innych potraw, oraz zabrano się do pieczenia ciasta. P. Bolucki wyszedł na miasto, aby zaangażować przyjaciela na do stołu zasiędzie siedem osób.

— Bardzo mi przykro, ale przyrzekłem, dałem słowo i pod żadnym pozorem wymówić się nie mogę. Bolucki wyszedł mocno strapiony, nie wiedząc zgoła, jak sobie w tym względzie poradzić.

III.

Już minęło południe i zwolna cień wieczoru zciemnił ulice. Bolucki nadaremnie chwytał znajomych, wszyscy albo mieli rodziny, albo byli zaproszeni już gdzieindziej.

Nagle kiedy właśnie wyszedł z domu przy ulicy Szerokiej, gdzie spodziewał się znaleść znajomego, widzi idących przed sobą dwóch młodych panów.

— Gdzie będziesz na wilji, pyta jeden drugiego.

— Ja u teściowej, a ty?

— U siebie w czterech ścianach. Spędzę więc wilję po kawalersku. Mam butelkę wódki, dwa śledzie to dosyć.

Bolucki aż podskoczył z radości.

Panowie pożegnali się i rozeszli, Bolucki pobiegł za owym samotnym, nie mającym rodziny kawalerem.

Przepraszam pana, rzekł zbliżając się, czy nie mógłbym uczynić panu pewnej propozycji. Nazywam się Bolucki, jestem urzędnikiem prywatnym we fabryce narzędzi rolniczych, mieszkam przy ulicy Nowy-Świat, a ponieważ liczba osób, mających zasiąść do wilji, byłaby nieparzystą, ośmielam się zaprosić pana na ósmego, bo dotąd jest nas siedmioro. Przebacz pan, że tak obcesowo go napadam, ale przed chwilą słyszałem, iż pan nie ma gdzie pójść...

— A tak, jestem kawalerem.

— Więc proszę pana ze sobą.

— Kiedy nie jestem odpowiednio ubrany.

— Bagatelka... Na wilji będą wszyscy swoi, a przytem biorę pana z ulicy, to jedno już pana zupełnie usprawiedliwia.

— Zgoda — odzywa się nieznajomy.

— Trzeba nam zatem poznać się, mówi Bolucki. Godność pańska?

— Nazywam się Stanisław Marynarz, prywatny oficjalista.

— Bardzo mi przyjemnie.

Bolucki uszczęśliwiony wziął gościa pod rękę i skierował się ku domowi.

IV.

Już zapalono świece, już się wszyscy zebrali, gdy nareszcie wszedł Bolucki z przybyszem, a raczej kompletem.

— Pan Stanisław Marynarz, rzekł, przedstawiając nieznajomego.

Pani Bolucka odetchnęła.

Kolacja odbyła się pod najszczęśliwszą wróżbą, nieznajomy był człowiekiem obytym z światem i dowcipnym. Nie zawadzał wcale, jako nieznajomy, ale przeciwnie wszystkich ożywił i rozweselił. Kiedy wreszcie skończyła się uczta, i pani Bolucka zaprosiła gości do salonu na orzechy, jabłka, pierniki i czarną kawę, nieznajomy gdzieś zniknął.

Czekano na niego nadaremnie, dość długo.

Wreszcie gospodarz domu, mocno zaniepokojony tem niespodzianem zniknięciem gościa, udał się do kuchni, pytając kucharki, czy nie widziała owego pana?

— Już dawno wyszedł — odpowiedziała.

— Jakto? zupełnie?

— Zdaje się, bo zabrał futro.

— Futro? przecież przyszedł w paltocie?

— Ja nie wiem, proszę pana, dość, że się ubrał w futro i wyszedł.

Cóż się tedy pokazało?

Oto ów pan najspokojniej zabrał futro szwagra pana Bo-

luckiego i do tego płaszczyk jego siostry, wynagradzając sobie tym sposobem fatygę. Na wieszadle pozostawił jednak stare palto.

Słowem był to zręczny złodziej, korzystający z wilji, a to stosownie do tradycji złodziejskiej: „Że, jeżeli w wilję powiedzie się złodziejowi co ukraść, cały rok będzie dlań szczęśliwy i obfity w zdobycz“.

Moje wrażenia z lotu Warszawa — Tokio

wzbiłem się nad mgłą i lecieliśmy przy ślicznej pogodzie.

Pejsaż się zmienia, nie staje się wszakże bynajmniej przez to ponętniejszy. Zaczynają się teraz stepy — dzikie, spalone słońcem, rozległe, lekko faliste. Mijają tabuny dzikich koni, jurty koczujących plemion azjatyckich. Myślałem w pierwszej chwili, że są to już osławieni Chunchuzi. Wskazałem Kubiakowi motor, poczem z wymownym gestem przeciągnąłem palcem po szyi; miał minę bardzo smętną...

W powietrzu krążyły od czasu do czasu olbrzymie sępy, co potęgowało jeszcze złowróżbny nastrój. Dolecieliśmy tak do grzbietu gór Chingańskich. Góry robiły wrażenie jakichś olbrzymich, przyczajonych zwierząt, pokrytych zjeżoną sierścią — lasem.

Przy dobrej godzinie przelatujemy grzbiet ten i wzdłuż toru zbliżamy się do Cycykaru. Widać na ziemi wioski chińskie. Każde obejście otoczone jest murem z basztami obronnemi przeciw Chunchuzom. Ci ostatni, prawdziwy postrach Mandżurji — grasują nawet na przedmieściach Charbinu. Porywają dzieci bogatych kupców, uwożą je w góry, nie czyniąc im zresztą żadnej krzywdy, poczem, po otrzymaniu sowitego okupu, odstawiają na umówione miejsce...

Za Cycykarem w odległości jakichś 30 klm. miały być według mapy dwa jeziora. Lecę, a tu nic. (Jak się później okazało poczciwe jeziora wyschły mylące w ten sposób moją orjentację), Zrobiło mi się trochę głupio. Myślałem, że zbłądziłem. Zdawszy się jednak na kompas i moją intuicję, parłem naprzód i ostatecznie zarysowało się przede mną w dali zamglone miasto. Był to Charbin.

Okrążyłem miasto od strony południowej, szukając lotniska, Znaleść je było nietrudno. Rzucała się w oczy barwna plama kobiecych sukien i parasolek. Zatoczyłem koło, opuściłem się i przeleciałem nad tłumem. Nie zapomnę nigdy tego widoku — starzy, młodzi i dzieci — wszystko to wyciągało ku nam ręce, jakby chciało nas przygarnąć do piersi razem z aparatem. Wzruszenie ścisnęło mi gardło. Wiedziałem, że tu oczekują nas stęsknieni rodacy, że w osobach naszych witają daleką polską

Ojczyznę Polacy, z których wielu nigdy jej nie widziało.

Wylądowałem w samem środku lotniska. Powitanie trudno mi jest opisać. Są rzeczy, na których wyrażenie brak słów... Tłum przerwał łańcuch żołnierzy chińskich, rzucił się ku nam; posypały się kwiaty, wiązanki, bukiety. Z okrzykami na cześć naszą i Polski zmieszały się spazmatyczne łkania. Ręka jakiegoś księdza nakreśliła drżący krzyż w powietrzu. W imieniu Polonji charbińskiej mówi coś p. Symonolewicz. Głuszą go urywane głosy i okrzyki. Każdy chce się zbliżyć do nas, uścisnąć nam rękę, dotknąć się bodaj naszego aparatu. Jakiś staruszek odzywa się z płaczem: „Teraz już mogę umrzeć spokojnie"... Ktoś inny woła: „Jestem sierżantem armji syberyjskiej, dzięki wam, rodacy, za tę chwilę"... To znów jakaś pani podnosi ku nam małą dziewczynkę i mówi jej coś bezładnie o Polsce... Przychodzą mi na myśl słowa Wieszcza:

„Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił".

Ale nie czas na smętne refleksje. „Zbliżają się władze chińskie z generałem dowódcą garnizonu na czele. Zapraszają nas uprzejmie do hangaru, gdzie piją nasze zdrowie szampanem. Przy naszym Breguecie staje chińska warta, my zaś udajemy się na przygotowaną kwaterę w gościnnym domu państwa Symonolewiczów.

Po krótkim wypoczynku złożyliśmy z naszym gospodarzem wizytę w polskiem seminarjum duchownem.

Wieczorem była herbata w Gospodzie polskiej. Zebrało się około 200 osób z kolonji polskiej. Nastrój był serdeczny wzruszający, jakiego daremnie szukaćby w kraju. Przez trzy godziny musiałem tym ludziom opowiadać o Polsce, a choć nie jestem nadzwyczajnym opowiadaczem, słuchano mnie z zapartym tchem, ze łzami wzruszenia w oczach, z wypiekami entuzjazmu na twarzach.

Kto nie zdaje sobie sprawy z tego, czem jest Polska, niech jedzie do Charbina"...

Nazajutrz rano, żegnani tłumnie przez rodaków, otrzymawszy jak gdyby ostatnie pożegnanie i błogosławieństwo Ojczyzny, odlecieliśmy z zamiarem dotarcia tego dnia do Heidżio.

K R O N I K A

Z Pawlikowic.

Z początkiem października pokończyliśmy prace w polu i rozpoczęliśmy uroczystem nabożeństwem lekcje. Następnie w polu dokończono siewy i ze spokojem oczekiwaliśmy zimy. Ale co mówię? Zima zawsze nas napawa pewną obawą, tembardziej, jeśli brak środ-

ków opałowych daje się dobrze odczuwać. Tak jest i w tym roku. Z węglem kłopot, drzewa również niema. Cóż robić — trzeba było lasek dalej karczować, drzewo rąbać i palić, chowając resztę na gorszy czas. Wkrótce też rozwarła się jaskinia Eola i zimne wiatry dawały nam się przez dłuższy czas dobrze we znaki. Na nasze szczęście później ociepliło się znacznie, jakby Pan Bóg wiedział, że węgla nie mamy i dlatego nas oszczędzał.

Dnia 18-go b. m. października byliśmy w Wieliczce na pogrzebie śp. Dr. Romana Stroki, Dobrodzieja naszego zakładu. Jako doktor spieszył zawsze bezinteresownie wychowankom zakładu z pomocą lekarską, a także wspierał nas często w ciężkich chwilach znacznemi ofiarami. Cześć Jego pamięci!

Listopad początkowo pokazał się podobnie jak jego poprzednik z zimnem, nieczułem obliczem i nawet sypnął zrazu śniegiem lecz ten wkrótce stopniał, grzebiąc w ten sposób błogie nadzieje amatorów sportu zimowego. W tym czasie odprawiła część wychowanków rekolekcje, korzystając z przerwy naukowej w okresie zaduszek. Przez cały miesiąc odprawiały się w naszej kaplicy nabożeństwa żałobne za dusze czyścowe, do których dołączaliśmy i nasze paciorki, nie zapominając przedewszystkiem o naszych zmarłych Dobrodziejach.



Miejsce Piastowe. W maszynowni stolarskiej.

13 listopada urządziło S. M. P. akademję ku czci św. Stanisława, poczem odegrano utwór p. t. Za głosem Bożym, osnuty na tle pobytu św. Młodzieniaszka w Wiedniu.

W ogrodzie przygotowania do zimy idą również w szybkiem tempie. Zmiana ziemi pod inspekty, zaopatrywanie drzewek i zakładanie chochołów na róże zajmuje sporo czasu.

We wszystkich warsztatach panuje także ciągły ruch, ale przedewszystkiem w stolarni, gdzie sanki i narty już się na zimę przygotowuje.

20-go obchodziliśmy imieniny Dyrektora naszej szkoły Ks. F. Skrzypkowiaka. Na wieczorek imieninowy złożyły się śpiewy, przemowy i deklamacje, poczem uczniowie kl. VI. gimn. odegrali sztukę dramatyczną p. t. „Serce kamienne“.

Dnia 2 grudnia byliśmy na pogrzebie Ks. Prałata Hałatka proboszcza wielickiego. W pogrzebie wzięły udział tłumy wiernych z Wieliczki i okolic i bardzo wiele duchowieństwa. Uroczystości pogrzebowej przewodniczył Ks. Bp. Rospond, sufragan krakowski.

Koniec listopada był nadzwyczaj ciepły. Kilka dni było prawdziwie wiosennych. Złudzenie wiosny rozpraszały tylko nagie sterczące konary drzew. *A. Wisz.*

Z Zakładu św. Józefa w Krakowie.

Październik miesiąc to ważny dla naszego zakładu. Stanowi on pod pewnym względem epokę nową w swoim rozwoju. Ks. Dr. J. Machała przyjeżdżając z Ameryki, sprawił nam instrumenta muzyczne pod warunkiem, że 8 grudnia na akademji ku czci N. M. P. Niepokalanie Poczętej już wystąpimy z pierwszym koncertem.

Wieść o tem z błyskawiczną szybkością obleciała cały Zakład, do najdalszych jego peryferjów.

Skutek tej radosnej wieści był taki, że w każdej wolnej chwili od zajęć gromadziliśmy się, by wspólnie omówić odpowiedni wybór dla siebie instrumentów, wedle naszych zdolności.

Zanim instrumenta przynieśli nasi muzykanci — rekruci przerabiali palcami po stole, krzesłach i ścianach, a przytem pomrukując różne melodje, jakie w ich głowach w takim nastroju powstały lub się skojarzyły.

Aż tu pewnego wieczoru w czasie wieczerzy p. wychowawca naznaczył najtęższych naszych kolegów, by poszli z p. kapelmistrzem po symfonję (domyślacie się których)

Gdy przynieśli trąby, bębny, skrzypce, całe godziny spędziliśmy w sali, w której tymczasowo były złożone, czekając na kolejkę, by bodaj raz dmuchnąć w trąbę. Po paru dniach już przywykliśmy do orkiestry, a nasi muzykanci powoli już się ćwiczą.

Od 15 października zmienił się zarząd kuchni. Taka zmiana jest nieraz pożądaną. Zgadnijcie dlaczego? Nasi korespondenci Józefici zasyłają nowemu zarządowi: „Szczęść Boże“.

29. Wolne od nauki szkolnej, które było bardzo dla nas pożądane, gdyż mieliśmy zrealizować kilka zamiarów, a nie było czasu kiedyindziej zrobić. Umysł mieliśmy zmęczony, ale mięśnie odprężone. Z wielką więc ochotą wykonywaliśmy polecenia przełożonych w krajaniu kapusty i układaniu do beczek; jak również w rozbie-

raniu starej szopy na „długiem“ podwórku, by przez to powiększyć nieco miejsce tak potrzebne, a przedewszystkiem rozszerzyć teren na zimę pod lód.

31 października żegnaliśmy ks. M. Sławińskiego, byłego dyrektora naszego zakładu, który wyjechał do Ameryki Północnej po „zielone obrazki“ na cele naszych zakładów.

1 listopada byliśmy, jak zresztą chodzimy co roku, w kościele Panny Marji i wraz z procesją na cmentarzu rakowickim, by się pomodlić na grobie fundatorów naszego zakładu ś. p. Michałowskich.

Wieczory w tym miesiącu są długie, a przedewszystkiem ciemne, więc rekreacje spędzamy więcej w sali, uprawiając różne sporty i gry pokojowe, a przedewszystkiem słuchamy przepięknych bajek opowiadanych cyklowo przez kleryka Am., a bardzo go za to lubimy.

W ogrodzie już smutno, zbliża się zima. Kwiaty pochowane przed mrozem, a ogrodnicy przygotowują ziemię pod kwiaty na rok następny.

Od paru dni nasz „chór“ przygotowuje się do występu na dzień 8 grudnia, uprzyjemniając nam wieczory miłemi pieniami. *Fr. M.*

Poczta Naszego Życia

Któryś z Redaktorów, czy też może czytelników, prosił mię, by napisać do Życia Naszego o swoich wrażeniach z podróży morskiej do Ameryki. Chętnie piszę, ale nie o wrażeniach; — tych nie mam, bo przecież nie pierwszy raz, ale Bogu dzięki jedenasty raz morze przekraczam.

Podróż poszła szybko i dobrze: od ostatniego października wieczorem jeszcze mię można było spotkać w Krakowie a 8-go listopada zrana już w Nowym Jorku.

Parowiec linji angielskiej „Majestic“ czyli „Majestatyczny”, jeden z największych w świecie, wygląda jak pływające miasto. Niewiele sobie co robi z fal i nawałności morskich. Idzie równo, spokojnie i szybko wobec czego pasażerowie nie chorują i danin niemiłych oceanowi nie składają. Z podróżujących Polaków zauważyłem tylko siebie i drugiego nieboraka z Bochni w klasie III.

Wnet po wejściu na okręt w Cherbourgu urzędnicy okrętowi wyrazili zadowolenie, że jedzie bodaj jeden ksiądz katolicki. Zaraz też umówili czas i miejsce mszy św., którą odprawiałem codziennie w przepysznym salonie pasażerów kl. I. Codziennie bywało na niej kilka osób, które przyjmowały Komunję św., a w niedzielę pełna sala. Pasażerami byli przeważnie Anglicy. Anglikanie mieli swoje nabożeństwo w klasie II, na którem dosyć melodyjnie śpiewali ze swoich modlitew-

ników (Anglikanami nazywa się Anglików należących do kościoła anglikańskiego). Wiadomości ze świata otrzymywaliśmy codziennie w formie gazety. Na stołach było pełno czasopism angielskich. Przeglądając je zauważyłem w piśmie „Observer" piękny artykuł o Polsce broniącej się przed zakusami Niemiec, oraz znalazłem w ilustracjach obrazek Marszałka Piłsudskiego, bawiącego w Egipcie.

Codzień była orkiestra, tańce i kino dźwiękowe. Podróż dla tych, którzy ją lubią musiała być przyjemną, mnie nudziła, bo pozbawiła mnie codziennych zajęć. Pogoda dopisała, ruchawki morskie były dosyć umiarkowane, zimno nie większe jak i na lądzie, a gdyśmy wjechali na Gold Stream (w gorący prąd) to przez kilka godzin było z ciepłem nieznośnie. Delfinów, rekinów i wielorybów nie widzieliśmy i to z tej racji, że się nie pokazały.

Nowy Jork, a właściwie jego drapacze stupiętrowe już zdaleka imponują przedtem jednak zachwycać się trzeba olbrzymią statuą Wolności, która mile wita przybywających. Ma ona być symbolem wolności amerykańskiej, która obecnie mocno jest kwestjonowana wobec prohibicji. Ta jednak ma się po wyborach prezydenta skończyć, z czego mógłbym się cieszyć, gdybym nie należał do „Powściągliwości"...

Ks. Sławiński.



Miejsce Piastowe. W stolarni.

Z powodu kryzysu wydawanie „Naszego Życia" zmuszeni jesteśmy na czas pewien zawiesić. *Redakcja.*

RZECZY CIEKAWE

W roku szkolnym 1930/31 było w całym kraju: 1803 przedszkoli 26.539 szkół powszechnych, 743 szkół średnich, 230 seminarjów nauczycielskich 770 szkół zawodowych, 22 zakł. typu wyższego.

Na 100.000 mieszkańców przypadało 86,3 szkół powszechnych, 4 szkół średnich 2,5 szkół zawodowych i 0.1 zakładów naukowych wyższych.

Najgęstszą sieć szkół powszechnych posiada woj. poznańskie i pomorskie, gdzie na 100.000 mieszkańców przypada 116 szkół powszechnych, 3 szkoły średnie i 3,4 szkoły zawodowe.

Muzułmanie wierzą niezachwianie, że w dzień Sądu Ostatecznego każdy malarz będzie musiał dostarczyć dusz dla wszystkich postaci ludzkich, które wymalował. Nie mogąc tego dopełnić, straci własną duszę za karę, że śmiał naśladować dzieła Stwórcy. Wobec tego przesądu, sztuka turecka zawsze musiała poprzestawać tylko na arabeskach, świecie roślinnym i zwierzęcym.

Jeżeli butelkę z wodą wystawimy na mróz, woda zamarzając, rozsadzi butelkę; siła zamarzającej wody jest tak wielką, że przy jej pomocy można rozsadzić skały i spiżowe armaty. Pochodzi to z właściwości wody, która przy zamarzaniu rozszerza się, więc powiększa swoją objętość. Lód zajmując większą przestrzeń niż ta sama ilość wody w stanie płynnym, jest od niej lżejszy, dlatego pływa nie tonie.

Gdyby przewiercono otwór przez środek ziemi i wrzucono weń kamień, spadałby ze wzrastającą szybkością do środka ziemi; tutaj siła przyciągania zaczęłaby działać na niego, szybkość spadku znmiejszyłaby się i kamień rozpocząłby podróż powrotną. Zanim jednak dostałby się do otworu, w który go wrzucono, znowu zacząłby spadać i ostatecznie zostałby zawieszony w środku ziemi, gdyż siła przyciągania, będąc równa z jednej i drugiej strony, nie pozwoliłaby mu się ruszyć z miejsca. Podobno..

Największym pałacem na świecie jest Watykan, rezydencja Papieża, drugim pod względem wielkości jest Wersal, zbudowany dla Ludwika XIV, trzecie miejsce zajmuje pałac Zimowy w Petersburgu, który może pomieścić 6.000 ludzi; czwarty co do wielkości jest Schönbrunn, zawierający 4.000 komnat.

Donoszą, że francuski samolot stratosferyczny, przy którego budowie pracują w największej tajemnicy od 18-stu miesięcy fabryki w Billancourt, w najbliższym czasie będzie ukończony. Jest to aparat o wielkiej rozpiętości, wyposażony w jeden motor o sile 500 KP. oraz trzema kompresatorami i będzie pierwszym w swoim rodzaju, specjalnie zbudowanym do wzlotu w stratosferę. Powyżej 11000 m. nad ziemią

rozpoczyna się t. zw. stratosfera, w której niema już żadnych wiatrów i panuje nadzwyczajna cisza. Dzięki niezwykłemu rozrzedzeniu powietrza samolot, który będzie mógł dostać się w stratosferę, może rozwinąć niebywałą szybkość, dochodzącą do 15.000 km. na godzinę. Lecąc tak szybko samolot może okrążyć całą kulę ziemską w ciągu trzech godzin. Jak widzimy realizują się fantastyczne bajki Verne'a.

Znany duński przyrodnik i podróżnik podbiegunowy, dr. Laug Koch, odkrył w czasie swej ostatniej wyprawy, na wybrzeżu fiordu Franciszka Józefa, około 3.000 skamieniałych zwierząt przedpotopowych, wśród których znajdują się typy przechodnie „ryby-czworonoga".

Według ostatniego spisu ludności Polska ma około 32.000.000 mieszkańców. Arkusze spisowe były jedną z najbardziej imponujących przesyłek, bo wymagały aż 48 wagonów towarowych do przewiezienia ich z całej Polski do Warszawy.

Polska posiada w pociągach instalacje radjowo odbiorcze na linjach kolejowych: Warszawa-Łódź, Warszawa-Kraków, Warszawa-Gdynia, Warszawa Lwów i Warszawa-Poznań.

RZECZY WESOŁE

Słuszna kara.

Jadący tramwajem żyd drapie się zajadle po karku, wreszcie wyciąga z za kołnierza jakieś zwierzątko, a wyrzucając je przez okno na ulicę woła:

— Skoro nie chczałaś spokojnie jechacz do domu, to teraz dymaj sobi na piechotę.

Ofrankowany:

— Wojtek, a list oddany na pocztę?

— Tak jest, Jasny Panie.

— A był ofrankowany?

— Nie, proszę pana, był tylko omaćkowany, bo Franek nie miał czasu jechać na pocztę, musiał jechać Maciek.

Coraz gorzej na świecie:

Kościelnemu wzięto syna do wojska. Przychodzi więc do Jegomościa i skarży się: Ej, proszę Jegomości, coraz gorzej na świecie, nie do wytrzymania. Co to będzie? — A co się stało, mój drogi? — Ano, już się ludzie zaczynają brać do duchowieństwa.

W redakcji:

Panie redaktorze! Jest tu list od krawca z rachunkiem za surdut i spodnie pana redaktora.

Redaktor: Niech to pan umieści w odpowiedziach redakcji: Nadesłanego rękopisu nie umieścimy w gazecie.

Zarabia:

Więc pan naprawdę zarabia na utrzymanie piórem?

— Ależ tak!

— Do jakich miesięczników pan pisze?

— Do miesięczników? broń Boże! Co dwa tygodnie piszę do ojca po pieniądze...

Zna go dobrze:

Pewien bardzo uczony, a nudny profesor miewał zazwyczaj nielicznych słuchaczy. Pewnego dnia zjawił się jeden tylko. Profesor przedstawiał mu szeroko i długo piękno filozofji Platońskiej, wkońcu zaś podziękował za pilność i spytał o nazwisko.

— Pan profesor zna mnie chyba dobrze! — zauważył gorliwy słuchacz.

— Jestem dorożkaż, wożę pana tu codziennie i już zostaję do końca wykładu w sali, by go odwieźć z powrotem do domu.

Przesadzona oszczędność:

Pewien uczeń, wypracowując referat o oszczędności pisze: W dzisiejszych czasach kryzysu, powinniśmy wszyscy oszczędzać na najmniejszych rzeczach. Począwszy od większych kapitałów, do najmniejszych składek szkolnych, które zamiast wpłacać do gminy, na samorząd, na bibljotekę, i inne cele powinno się wkładać do kasy P. K. O. Powinniśmy oszczędzać nie tylko kapitał, ale wszelkie sprzęty, ubranie i zdrowie. Należy więc oszczędzać obuwie chodząc tylko czasem do szkoły, ołówki, pióra, atrament, pisząc jak najmniej, przytem zadań domowych można nie pisać. Przedewszystkiem jednak mało ucząc się i czytając oszczędzamy rozum na przyszłość, który najbardziej może się przydać. Wtedy nietylko my sami, ale i całe społeczeństwo będzie z nas zadowolone.

S.

ZŁOTE MYSLI

Bądź pokornym, bo pokora to umysłów wyższych znamię; Burza hardych łatwo zmiecie, lecz pokornych nic nie złamie.

Prawdziwa przyjaźń powinna prawdę mówić!

Cierpliwość ma twardą łupinę, ale owoc słodki.

Gdzie miłość ojczyzny gaśnie, tam przychodzą czasy łotrów i szaleńców.

Sienkiewicz.

Jak na polu leżącem ugorem bujnie się zielsko rozrasta, tak w duszy próżniaka wszystko złe!

Kocham ubóstwo, boje Chrystus kochał; kocham majątek, bo mi daje środki do czynienia wiele dobrego.

Praca jest balsamem życia, praca jest źródłem cnót.

Jeślić jakie do cnoty mogą pomóc leki; patrz, żebyś próżnowania był zawsze daleki.

Złym się nie podobać jest coś na kształt chwały.

Człowiek nie jest stworzony na łzy i uciechy, ale dla dobra swych bliźnich.

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Z następujących sylab ułożyć 5 wyrazów w ten sposób, żeby litery, czytane na wskos dały hasło pewnej organizacji.

Sylaby:

rów, tów, tar, łąb, ka, kal, ku, go, go, lo.

Znaczenie wyrazów:

1) ptak, 1
2) inaczej mieszkanie, 2
3) choroba nosa, 3
4) hasło, 4
5) miasteczko niedaleko Lublina. 5

X				
	X			
		X		
			X	
				X

Zagadki i łamigłówki:

II)

Przez k—znajdziesz w każdym płocie,
Przez w—w polu przy robocie
Przez d—różnej głębokości,
Przez p—nie dają ci całości,
Przez s—będzie rzecz drewniana,
W każdym domu używana.

III)

Rośnie na górze cienki las,
Trzeba go ścinać co pewien czas,
A co się zetnie, — wyrzucić, stracić,
I jeszcze za ścięcie zapłacić.

IV)

Nie ma nóg ani rąk,
A wylezie na wysoki drąg.

V)

Jedzie — nie wozem, śmiga jak biczem,
chwyta — nie raki, zgadnij, kto to taki?

Wszystkim szanownym Czytelnikom oraz sympatykom naszego Pisemka śle najserdeczniejsze życzenia Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku!

Redakcja „Naszego Życia".

TREŚĆ NUMERU:

NASZE ŻYCIE

jest pismem młodzieży z zakładów KS. BRONISŁAWA MARKIEWICZA przeznaczone dla wychowanków tychże w pierwszym rzędzie, a w drugim dla młodzieży katolickiej.

Adres Redakcji i Administracji:
PAWLIKOWICE P. WIELICZKA, ZAKŁADH WYCOWAWCZY.

Pod tym adresem należy przesyłać artykuły, sprawozdania, materjały do różnych działów, listy i t. p.

Rękopisów Redakcja nie zwraca lecz ważniejsze przechowuje.

Prenumerata roczna 3 zł. Pojedynczy numer 30 gr.

Wszelkie wysyłki pieniężne należy przesłać czekiem do P. K. O. w Krakowie na konto Nr. 404.854.

Wydawca: Zakład wychowawczy w Pawlikowicach.

Redaktor odpowiedzialny: Ks. Stanisław Kot.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie